

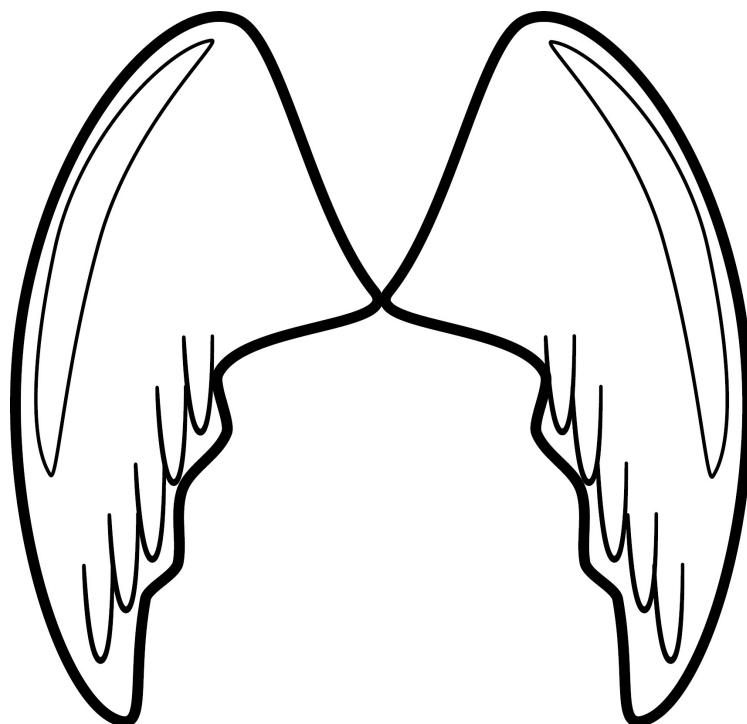
KATARZYNA WOŹNIAK



SKRZYDŁA
AZRAELA

RW2010

Katarzyna Woźniak



Skrzydła Azraela

RW2010 2011

SKRZYDŁA AZRAELA
KATARZYNA WOŹNIAK

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2011

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Katarzyna Woźniak 2011

Okładka i Copyright © Katarzyna Woźniak 2011

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2011

Wydanie numer I

ISBN 978-83-63111-47-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Spis treści

DZIECIŃSTWO.....	7
I.....	7
II.....	15
III.....	23
IV.....	29
V.....	41
VI.....	53
VII.....	59
VIII.....	63
IX.....	66
X.....	72
XI.....	76
XII.....	82
XIII.....	86
XIV.....	90
DOROSŁOŚĆ.....	93
XV.....	93
XVI.....	94
XVII.....	101

P					n
o					i
d	j			w	e
o	e			j	p
b	s			e	r
n	t	b		j	z
o		l		e	e
		i		ż	r
ś	t	s	n	y	w
m	a	k	a	j	a
i	k	k	s	e	n
e		o	,	m	i
r				y	e
ć					

W dniu narodzin zaczynamy umierać. Każdy dzień jest krokiem w kierunku śmierci, każdy dzień skraca czas, który nam pozostał. Nie znamy momentu ani okoliczności. Są ludzie, którzy żyją wiele, wiele lat i wyczekują jej nadejścia. Chcieliby przyspieszyć finisz i nie mogą. Są ludzie, którzy snują ambitne życiowe plany, a śmierć spotyka ich w chwili, kiedy jeszcze nie rozpoczęli ich realizacji. Czasami mamy aspirację i wolę działania, lecz niespodziewanie zasypiamy w objęciach Azraela. I podążamy wraz z nim tunelem czarnym jak jego skrzydła, w kierunku światła, tak białego jak dusza. Nie ma powrotnej drogi. Może to dobrze i niepotrzebnie boimy się śmierci? Może po drugiej stronie tunelu czeka nas lepsze życie, bez trosk i cierpienia? A nawet jeżeli nie czeka nas tam nic, to po śmierci nie będziemy tego wiedzieli. Po prostu zaśniemy, a sen nasz będzie nieprzerwany, niezmałcony niczym. Może narodzimy się na nowo lub staniemy się częścią Wszechogarniającej Jaźni, w którą wierzą buddyści?

Gdzie trafisz, przyjacielu? W nicość? A może Arkadia stanie się twoim nowym domem? Czas przestanie grać rolę dla ciebie, leżącego na elizejskich polach. I na wietrze prześlesz list zawierający jedno zdanie: „Masz mało czasu...”, a ja odpowiem: „Będę z tobą przyjacielu, ale jeszcze nie teraz...”.

DZIECIŃSTWO

I

Spojrzałem na rozpromienioną twarz Daniela. Rozumiałem, czym jest przyjaźń i jak bardzo jej potrzebowaliśmy w tamtych czasach. Dzięki niej byliśmy w stanie wytrzymać lata spędzone w internacie. Ja, Błażek, Bartek oraz Daniel, nazywany Delem. Tworzyliśmy zgrany, wspierający się wzajemnie zespół. Każdy z nas był inny, mieliśmy odmienne zainteresowania i temperamenty, ale różnice nigdy nas nie dzieliły, raczej – uzupełniały. Niewyczerpana energia Błażka, jego ciągle gadulstwo i zwariowane pomysły stanowiły napęd naszego teamu. Błyskotliwość i komunikatywność Bartka zrobiły z niego naszego adwokata; potrafił załatwić wszystko i wyciągnąć każdego z nas z tarapatów. To, co zdawało się niedostępne, wydobywał jakby spod ziemi, niczym magik, wyciągający za uszy białego królika z kapelusza. Natomiast Del, mimo że miewał równie głupie pomysły jak my, posiadał też swój własny, nieosiągalny dla innych świat. Czytając książkę, odpływał czasami w krainę wyobraźni, do której wstęp miał tylko on. Pisał i rozmyślał o rzeczach, nad którymi nikt z nas się nie zastanawiał, których nikt z nas nie rozumiał. Dla nas było po prostu za wcześnie na poważne sprawy, na egzystencjalne rozważania. Nikomu nie przeszkadzała ta szczególna przypadłość Dela. Wręcz przeciwnie – wszyscy ceniliśmy jego dojrzałość. Jako przyjaciel zawsze potrafił mnie pocieszyć albo uspokoić w momentach dramatycznych, pełnych furii. Często korzystałem z jego porad i pomocy, zarówno fizycznej, jak i intelektualnej. Lubilem nasze wieczorne „rozmowy” na poważne tematy – Del mówił, ja słuchałem. Chociaż nie rozumiałem poglądów przyjaciela, sam prowokowałem owe wywody i dopytywałem się: „dlaczego tak myślisz?”, „co to znaczy?”. Wiedziałem, że Del jest mądrzejszy, bardziej świadomy rzeczywistości. Dzięki niemu czułem się bezpieczniejszy.

Ogólnie rzecz biorąc, gdyby nie oni nie wytrzymałbym w szkole nawet jednego dnia. A ponieważ mieszkaliśmy razem w internacie od dawna – zdawać by się mogło, że od zawsze – wtedy jeszcze nie potrafiłem wyobrazić sobie utraty chociaż jednego z nich.

Siedzieliśmy z chłopakami na parterze, gdy usłyszeliśmy dzwonek, zwiastujący zbliżającą się najgorszą lekcję na świecie. Język polski – prowadzony osobiście przez naszego dyrektora, zapatrzonego w siebie erudyte i dyktatora, który nienawidził nas oraz swojej pracy. W ogóle wątpię, czy oprócz podziwiania własnej osoby, cokolwiek innego sprawiało mu przyjemność. To on – Herbert Mazurski – był pomysłodawcą programu „zbrodnia i kara”, realizowanego w naszym internacie. Uważał, że trzymani krótko, nie będziemy sprawiali kłopotów. Doszło do tego, że łądownaliśmy na dywaniku za zwykłe bieganie po korytarzu. A co za to groziło? Strach mówić.

Pokój dyrektora był prawdziwym szeolem, w którym wizyta kończyła się kalectwem lub śmiercią (moralną bądź fizyczną). Oczywiście dyrektor nie miał prawnego pozwolenia, by decydować o końcu naszej egzystencji, ale mógł do niego doprowadzać w sposób pośredni. Na przykład w zeszłym roku Piotrek trafił na dywanik za zabicie szyby. Sam został więc zbity, a co gorsza poniżony tak dotkliwie, że jego szesnastoletni umysł nie wytrzymał presji i pogardy, którymi dyrektor go potraktował. Chłopak skazał się na śmierć przez powieszenie. Egzekucję wykonał w pochmurny niedzielny poranek za pomocą grubego, skórzanego paska, który zwykle trzymał jego przyduże, postrzępione dzinsy na odpowiedniej wysokości. Nie wskazano konkretnego winnego jego śmierci. My jednak znaliśmy prawdę. Wiedzieliśmy, kto zmusił naszego kolegę do wybrania tak ostatecznej drogi ucieczki z tego świata. Notabene uznano, że do wyniszczenia jego młodej i wątłej psychiki przyczynił się ogół społeczeństwa. Tu wymieniano rodzinę, która poświęcała mu zbyt mało czasu i uwagi, oraz

rówieśników, którzy chłopca gnębili i prześladowali. Tę bzdurę oczywiście wyssano z palca naszego dyrektora, gdyż Piotrek był powszechnie lubiany. Spekulowano nawet, że chłopiec cierpiał na jakieś schorzenie psychiczne, którego wymyślnej nazwy nie jestem w stanie przytoczyć z pamięci. My wiedzieliśmy, jak było naprawdę, ale kto by nas wtedy wysłuchał i nam uwierzył. Potulnie przyjęliśmy porażkę Piotrka i naszą własną zarazem. Od dnia tej pierwszej śmierci wiele się zmieniło. Zrozumieliśmy, że Śmierć wędruje po świecie i nie interesują jej ani nasz wiek, ani nasze plany. Poznaliśmy smak pokory i zapach strachu.

Teraz znów szliśmy na spotkanie z mordercą dusz, z człowiekiem, który każdego dnia uświadamiał nam, jacy jesteśmy niedouczeni, zacofani i niewychowani. Tliła się jednak w moim sercu iskra nadziei. Dyrektor postanowił bowiem nająć do pracy nowego polonistę. Odkąd pomogliśmy poprzedniemu nauczycielowi zrezygnować z prowadzenia naszej klasy, Mazurski zajął się nami osobiście. Zabierało to jednak mnóstwo jego cennego czasu. Nie mógł jeździć na czwartkowe wykłady do miasta, a wieczorami robił się zbyt zmęczony na czytanie książek i zajmowanie się sobą. Uczenie nas było dla niego rzeczą niewygodną, co więcej – zbędną, gdyż w jego mniemaniu staliśmy na z góry przegranej pozycji. Jako ludzie bez przyszłości, bez perspektyw, niepotrzebni społeczeństwu.

Poprzedni nauczyciel zrezygnował z pracy pół roku temu, po tym jak Daniel dosypał mu do kawy środków przeczyszczających. W naszych głowach pojawiło się więc pytanie, kto zostanie naszą nową „ofiara”. Wprawdzie można by pomyśleć, że każdy inny polonista będzie lepszy od Mazurskiego, ale sprawdzanie, jak długo da się z nami wytrzymać, stanowiło dla nas pierwszorzędną i wielce kuszącą rozrywką.

Weszliśmy do klasy, przepychając się jeden przez drugiego. Usiedliśmy w ławkach, szepcząc jeszcze na boki. Krzesła szurały o podłogę, skrzypiały otwierane blaty biurek, a zamykane stukwały. Jednak gdy otworzyły się drzwi, zapadła nagle cisza, tym bardziej dojmująca, że poprzedzona wzmożonym rumorem. Wszyscy usiedli prosto, jakby połknęli kije, położyli ręce przed sobą i skierowali wzrok ku przybyłym. Mazurski wszedł pierwszy, a za nim wysoki, ciemnowłosy mężczyzna przez czterdziestką. Gdzieś z głębi klasy doleciał dźwięk upuszczonego na betonową podłogę długopisu. Nikt się nie odwrócił i żadne krzesło nie zaskrzypiało. Długopis leżał na ziemi. Dyrektor na wskroś przepalił wzrokiem chłopca, który śmiał zakłócić ten piękny moment napięcia, po czym rzekł:

– Przedstawiam wam waszego nowego nauczyciela, pana Konrada Brackiego. – Po tym wstępie, spojrzawszy na nas spode łba, zwrócił się do polonisty: – Zostawiam ich panu. Gdyby pan czegoś potrzebował, jestem w gabinecie, ale obym nie musiał... Żadnego pajacowania i zero wygłupów! – krzyknął do nas na odchodne, zmierzył jeszcze raz całą klasę surowym wzrokiem i wyszedł.

Bracki stał przez chwilę na środku sali, a następnie, krocząc tyłem, doszedł do biurka. Nie spuszczał nas z oczu, jakby w obawie, że gdy się odwróci, wbijemy mu nóż w plecy. Zapewne sporo już słyszał o naszych brutalnych skłonnościach... Nie dziwiło mnie to. Byliśmy znani w szkole z mniej lub bardziej finezyjnych sposobów dręczenia belfrów. Swoją drogą, ten nowy zdawał się nie różnić niczym od innych. Potężne dłonie, gotowe w każdej chwili zdzielić któregoś z nas przez głowę, postura przygarbiona od siedzenia przy biurku i zimne spojrzenie, jak gdyby wierzył, że jednym rzutem oka zdolny jest zamrozić całą klasę albo zamienić nas w kamienne posągi, niczym mitologiczna Meduza. Zwrócony ciągle w naszą stronę, oparł się o brzeg blatu. Wziął do ręki

dziennik i wlepiając wzrok w kartki (jakby widział tam coś ciekawego...), odezwał się po raz pierwszy:

– Oto, co mam wam do przekazania... – zamknął dziennik, spojrzał na nas i ruszył, jak żołnierz w euforii rzucający się na wroga, w głąb klasy. – Bądźcie odważni! Bądźcie dzielni, jak wasi ojcowie przed wami. Miejcie wiarę! Śmiało naprzód! – ściszył nieco ton głosu: – Kto powiedział te słowa? Ktoś wie? Może pan, panie... – spojrzał na jednego z uczniów.

– Gregorczyk... Błazek – odpowiedział chłopak nieśmiało. Jego głos delikatnie zadrżał. Nie potrafił ukryć zaskoczenia tak dynamicznym, tak aktorskim wejściem nowego polonisty.

„Może być ciekawie” – pomyślałem.

– Zatem, panie Błazeju, zna pan odpowiedź?

– Nie bardzo...

– Ależ proszę się nie denerwować, tylko dobrze się zastanowić.

– Może... pan?

Klasa wybuchła śmiechem.

– Spokój! – nauczyciel podniósł głos i klasnął dwa razy w dłonie. – Słuszne spostrzeżenie. Ma pan poczucie humoru. To dobra cecha, adekwatna w każdej sytuacji – odwrócił się powoli i skierował w stronę biurka. Rozczarowany, że nie usłyszał od nikogo odpowiedzi na postawione pytanie, sam wyjaśnił:

– Są to słowa Thomasa Edisona, panowie. Skąd go znamy? – znów entuzjazm zabrzmiał w jego głosie, ale nikt z nas nie przerwał panującej ciszy. Nie mieliśmy ochoty brać udziału w lekcji. Nigdy też specjalnie nas do tego nie zachęcono. Bracki ponownie otworzył dziennik, wzrokiem przejechał po rubrykach i usłyszałem własne nazwisko.

– Maksymilian Lewandowski. Skąd znamy Edisona?

Wzruszyłem obojętnie ramionami.

– Twój gest jest przejawem lenistwa, ignorancji czy totalnej głupoty? Chętnie podebatowałbym o tym w towarzystwie dyrektora.

„Też znalazł sobie sposób... adwokat diabła...” – przyszło mi na myśl.

– To ten od żarówki – odparłem smętnie. Teraz, gdy o tym myślę, nie pojmuję, jak mogłem być taki lakoniczny.

– Ten od żarówki. Dobrze – stwierdził profesor. – A teraz powiedz to, proszę, pełnym, składnym zdaniem, a nie jak rynsztokowy przygłup.

– Słowa te wypowiedział Thomas Edison, który wynalazł żarówkę.

– Ależ ty jesteś nieuczuciowy! – Nie sądziłem, że zaraz na pierwszej lekcji rzuconych zostanie pod moim adresem tyle obelg. Co więcej, wypowiedzianych z kąśliwym uśmiechem. Ja – „nieuczuciowy”? Zawsze uważałem się za człowieka wręcz nadwrażliwego. – Tak oschła forma dla tak budującej myśli? Postaraj się to zdanie ubarwić.

– Te piękne słowa wypowiedział Thomas Edison, któremu zawdzięczamy tak wspaniałe wynalazki, jakim jest żarówka! – rzekłem wzniosłym, choć lekko ironicznym tonem.

– Tak już lepiej. „Bądźcie odważni! Bądźcie dzielni, jak wasi ojcowie przed wami. Miejcie wiarę!”. Zapamiętajcie sobie słowa „pana od żarówki”. Mówią o nadziei, niezbędnym elemencie życia, które nie zawsze układa się tak, jakbyśmy tego chcieli. To nadzieja daje nam możliwość zrobienia czegoś ponownie lub rozpoczęcia jakiejś wielkiej rzeczy. Bez niej nasze życie byłoby szare, smętne, bezcelowe. Pamiętajcie – najpierw głęboka wiara, później działanie! Przyciągamy to, w co wierzymy, czemu ufamy.

– I panu nadzieja się na coś zdaje? – odezwał się głos z ostatniej ławki.

Początkowo myślałem, że ktoś próbuje zwyczajnie zagadać belfra, aby ten nie realizował dalej nudnej lekcji. Lecz gdy uświadomiłem sobie, że był to głos Remiego Zielińskiego, zawadiacki uśmieszek, przyklejony do mojej twarzy od

początku lekcji, nagle zniknął. W zeszłym roku rodzice Remiego zginęli w wypadku samochodowym. Opiekę nad nim teoretycznie przejął wuj, który w rzeczywistości nie miał czasu na wychowywanie niesfornego siostrzeńca. Wysłał go więc do szkoły z internatem i udawał, że chłopak nie istnieje. Trudno zatem było mówić o nadziei w przypadku Zielińskiego. Sierota o trudnym charakterze to najgorszy materiał wychowawczy i jednostka często z góry przekreślana przez społeczeństwo.

– Zawsze warto zaufać nadziei, oprzeć się na niej, pozwolić, by rozgościła się w sercu, dać sobie i innym drugą szansę. Człowiek powinien brać przykład z czajnika, który nie przestaje gwizdać pomimo wrzątku podchodzącego do gardła...

Zapadła cisza. Remi spojrzał na nauczyciela z ironią. Ogólne milczenie, ku naszej uldze, przerwał dzwonek.

Ruszyliśmy jak spłoszone stado. Nasz pośpiech tym razem nie był spowodowany radością z powodu przerwy, lecz strachem przed zbliżającym się sprawdzianem z biologii. Udaliśmy się pędem do toalety, by ustalić tak zwane sygnały pomocnicze.

– Mam nadzieję, Błażek, że wykułeś się na blachę – zapytałem z jarzącą się w oku iskierką.

– No, pewnie! Biologia to przecież moja specjalność. I nie zawałę sprawy jak Bartek... – odpowiedział, przeciągając sylaby i patrząc z uśmiechem na Bartka. Temu policzki nawet lekko nie poróżwiały.

– Nie moja wina, że Zawadzki dał na sprawdzianie szerszy materiał, niż zapowiadał. Przyznajcie, wszyscy byliście zaskoczeni stwierdzeniem: „To są podstawy, panowie. Powinniście to wiedzieć nawet zerwani z łóżka w środku nocy!”.

– Dobrze, dobrze. To mamy już za sobą... Więc ad rem... – ponaglił Del i widząc pytanie w naszych oczach, dodał: – Do rzeczy, panowie.

Ledwo mieściliśmy się w małym pomieszczeniu z muszlą klozetową pośrodku. Gdyby nagle ktoś otworzył drzwi, wysypalibyśmy się stamtąd jak zboże, które wirowo-do-wewnętrznym ruchem wysypuje się z worka. Ale sprawa była wielkiej wagi, więc mogliśmy się poświęcić i wytrwać kilka minut w tak bardzo niekomfortowym położeniu.

– Czyli tak: jedno stuknięcie długopisem w blat oznacza pytanie pierwsze, dwa stuknięcia – drugie, i tak dalej. Błazelek może dawać odpowiedzi, pstrykając długopisem, jeden raz na odpowiedź a i dwa razy – na b.

System zaproponowany przez Bartka wydawał się niezły, a mógł okazać się skuteczny. O tym jednak mieliśmy przekonać się za chwilę.